Kasper Mariusz Kaproń OFM

Stamtąd wszystko widzi się lepiej

Polski Kościół w oczach misjonarza w Boliwii

WYDAWNICTWO WAM

© Wydawnictwo WAM, 2014

Redakcja: Zofia Palowska
Korekta: Sylwia Łopatecka
Projekt okładki i opracowanie graficzne:
Dominika Dzierżanowska
Zdjęcia: archiwum autora

Imprimi potest: Br Rufin Z. Maryjka OFM
Minister Prowincjalny Zakonu Braci Mniejszych
Prowincji Matki Bożej Anielskiej
Kraków, dnia 16.11.2013 r., l.dz. 298/11/13

ISBN 978-83-277-0057-5

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Druk: Drukarnia Wydawnictwa WAM

Wstęp

Czyżby kolejna książka podróżnicza? Tak zdaje się sugerować pokorny jej tytuł.

W ciągu ostatnich kilku dni zostałem poddany próbie klimatycznej wytrzymałości. W poprzednim tygodniu temperatura w godzinach południowych znacznie przekraczała czterdzieści stopni Celsjusza. W ubiegłą sobotę natomiast przyszedł sur. Powiało bardzo zimnym powietrzem z argentyńskiej Patagonii i temperatura w ciągu zaledwie kilku nocnych godzin spadła do dziewięciu stopni. Było to bardzo drastyczne i mocno odczuwalne jej obniżenie. Krajobraz zmienił się radykalnie: przenikliwe zimno, bardzo silny wiatr, deszcz i zachmurzenie... Czytając tę książkę, można poznać realia pracy misyjnej tak daleko od kraju, wyzwania klimatu, oswajanie obcego kulturowo środowiska. Czy można spodziewać się po tej lekturze jeszcze czegoś więcej? Oczywiście!

Tutaj Czytelnik przeżywa swoiste rekolekcje prowadzone przez misjonarza. Będąc prowadzonym przez niego, można odbyć osobiste nauki, a jednocześnie przewędrować Boliwię, poznając piękno boliwijskiej przyrody, egzotykę bytowania ludności, kontrasty i bogactwo mentalne tamtejszego ubóstwa, znaczenie przywiązania do miejscowej tradycji, odmienność wartościowania świata i obrzędowości religijnej, chrześcijańskiej. Można rzec, kolejna wędrówka przez dalekie lądy, tyle że oglądana z perspektywy misjonarza, osoby duchownej. Ale z pozoru „tylko" tyle!

Wciąż pokutuje myślenie, że rolą misjonarza jest: dawać jeść, odziewać, podleczyć, zbudować elegancką szkołę, dawać, dawać...,

a w zamian, jak za szklane paciorki, zaganiać do kościoła, nawracać na przynętę... taki wielki kiermasz z Panem Bogiem i miejscowymi ludami.

Kto spośród dzisiejszych katolików zdoła w jednym krótkim zdaniu udzielić odpowiedzi: Kto to jest misjonarz? albo: A kim ty jesteś, dzisiejszy katoliku?

A taka zwarta jest ta odpowiedź: jest świadkiem. I ja mam świadczyć, jako katolik, na co dzień, sobą.

Ta książka jest jak rekolekcje. Ujmuje Czytelnika za rękę i prowadzi w ślad za skromnym franciszkaninem przez Boliwię do Boga. Ta książka to przewodnik po ludzkim życiu, po codziennym naszym ziemskim pielgrzymowaniu w tęsknocie za Bogiem. A że poznajemy przy okazji egzotykę Boliwii, to tylko uatrakcyjnia nasze rekolekcje misyjne. Autor mógłby przeprowadzić nas przez każdy inny kraj, ale tak go posłano, akurat tam. Uczestniczymy więc w codziennej posłudze misjonarza wśród ubogich, chorych, niewyedukowanych, prostych, żyjących w oddaleniu o wieki od cywilizacji zamożnej Europy. Uczestniczymy w egzotycznie odprawianych obrzędach chrześcijańskich świąt, uroczystości. Lecz Autor nie epatuje odmiennością tych światów, udowadnia, że ludzkie bytowanie wszędzie jest takie samo, to poszukiwanie sensu istnienia, głód, choroba, cierpienie, osamotnienie, odrzucenie, pragnienie wiary, ból i radość oraz potrzeba akceptacji, miłości.

To przewodnictwo misyjne Autora po ludzkim życiu jest całkowicie wolne od jakichkolwiek podziałów, ocen, wartościowań ludzi, od europocentryzmu. To nie są jeszcze jedne wspomnienia kolejnego misjonarza z heroicznych lat na misji, choć i takie są ogromnie potrzebne Czytelnikom. Ta książka, jak rekolekcje, jest pielgrzymką przez Boliwię, ale przede wszystkim przez historię misyjnego Kościoła, edukuje w podstawach wiary i podstawach wiedzy o jej historii, zmieniającej się tradycji, odmienności kulturowej i obrzędowej, edukuje w podstawach etyki i moralności katolickiej, przywraca najprostsze perspektywy w widzeniu roli katolika w świecie, który także, niczym misjonarz, ma za zadanie

być świadkiem, w swoich uwarunkowaniach, tam, gdzie i on jest posyłany.

Bezcenną wartością poznawczą jest tu autentyzm, niezwykła otwartość, szczerość Autora, w każdym jego słowie – jako wyraz obdarzania Czytelnika misyjnym zaufaniem, zwracanie się wprost ku sercu Czytelnika, jakby wnikanie do jego serca poprzez rozum, prostymi, zrozumiałymi zdaniami, barwnymi, plastycznymi opisami zarówno Boliwii, jak i w licznych dygresjach dotyczących realiów życia duchowego i życia duchownych w Rzymie czy Krakowie, w świecie czy w Polsce.

Unikalny obraz sytuacji Kościoła w świecie, osadzony w rzeczywistości aktualnej, w odniesieniu do przemian socjalnych, politycznych, gospodarczych w sensie globalnym także. Z prostotą i klarownie wyjaśnia Autor także istotę problemów polskiego Kościoła, daje kwintesencję wad i mocnych cech naszego narodu, a w nim katolików i hierarchów kościelnych, kierunki upragnionych, niezbędnych przemian.

Do tego, w tej skromnej objętościowo książce, otrzymujemy iście rekolekcyjne przeprowadzenie pełnej powtórki z podstawowych zasad naszej wiary. Przypomnienie słów tak świętych misjonarzy, jakimi byli św. Franciszek czy Jan Paweł II i odnoszenie się Autora do ich wzorów, do ich „bycia świadkami". Książka ta to niemal niezbędnik wiedzy dla dzisiejszego katolika, napisany miłością i głęboką wiedzą teologiczną oraz życiową, osobistą mądrością Autora.

Czytając, zapragniemy się znowu poprawić, powrócić do tej czystej wiary dziecięcej, na nowo oczyścić serce, wyrzucić nagromadzone pokłady goryczy i zwątpienia, żalu do innych. Czytając, można na nowo uwierzyć i pójść za swoim nowym, dobrym misjonarzem.

Kwintesencja celu i sposobu utworzenia tej książki, według mnie, zawiera się w następujących jej akapitach, które zacytuję wyrywkowo, a mimo to dadzą one obraz całości, jakby *credo* misyjnej posługi Autora:

„Człowiek naszych czasów chętniej słucha świadków aniżeli nauczycieli; a jeśli słucha nauczycieli, to dlatego że są świadkami" (Paweł VI, *Do członków „Concilium de Laicis"* – 2 października 1974).

Powinniśmy pisać o tym, co przeżywamy, i dzielić się własnym doświadczeniem.

Dzisiejszy człowiek na nowo musi odkryć prawdę, że Bóg go kocha, a nikt inny niż odważni uczniowie Chrystusa nie jest w stanie zanieść światu tej Dobrej Nowiny.

Nie bójmy się świata! Nie zamykajmy się w twierdzy, ale nie pozwalajmy także na to, aby ewangeliczne przesłanie rozmyło się w nic niemówiących frazesach o szczęściu i miłości. Mamy być wyraźnym znakiem sprzeciwu i proroczym głosem wzywającym do nawrócenia.

Spośród właściwych form głoszenia Dobrej Nowiny i spotkania się z tym światem najodpowiedniejszą pozostanie ta, którą obrał sam Jezus Chrystus: metodologia wcielenia i uniżenia. Polega ona na zejściu do człowieka w jego realnej, konkretnej sytuacji i przemówieniu jego własnym językiem.

Świat potrzebuje świadectwa radości. Nie tej pustej i banalnej, ale płynącej z autentycznego doświadczenia miłości Boga.

Jeśli ktoś mi powie, że Pan Bóg nie działa przez ludzi – to nie uwierzę. A jeśli w to kiedyś, nie daj Boże zwątpię – to będzie moja osobista porażka.

Zmartwychwstały Chrystus ciągle nam jednak przypomina: „Odwagi, nie bójcie się. Jam zwyciężył świat" (J 16, 33).

Ojcze Kasprze, mój misyjny Bracie! Wielkie dzięki za otwarcie Twojego misyjnego serca, które na nowo otworzyło moje – również misyjne – serce i otworzy jeszcze serca wielu na potrzeby misji, misjonarzy i misjonarek.

ojciec dr Kazimierz Szymczycha SVD
sekretarz Komisji Episkopatu Polski ds. Misji
Warszawa, 3 czerwca 2013 roku

Z ojcem Kasprem spotkałem się w klasztorze Ojców Franciszkanów w Warszawie tuż przed jego wyjazdem do Boliwii. Jego klasztorna cela była praktycznie pusta, cały dobytek w dwóch spakowanych walizkach. Uśmiechał się i mówił: – Okazuje się, że nie potrzeba mi aż tak wiele rzeczy. Resztę rozdałem... Na jego twarzy malowały sie mieszane uczucia. Z jednej strony pewien niepokój, lęk przed nieznanym, a z drugiej radość dziecka, które pragnie poznawać nowe światy, nowych ludzi, objąć ich swoim sercem, a przez to poczuć się wolnym. Wolnym w miłości. To taka „wolność do". Ale widoczna też była „wolność od". Ojciec Kasper rozstawał się na kilka lat z Polską, naszym „polskim piekiełkiem", naszymi lokalnymi problemami, które wydają się nam być najważniejsze i jedyne. W duchu zazdrościłem mu tego wyjazdu, czułem podskórnie, że jego owoce będą wielkie, nie tylko dla niego samego, ale także dla innych. I oto trzymają Państwo w rękach książkę *Stamtąd wszystko widzi się lepiej*. Czytałem ją jeszcze przed wydaniem, w samolocie do Stanów Zjednoczonych. Leciałem do kraju uchodzącego za wzór szczęścia i bogactwa, a czytałem o najbiedniejszym kraju Ameryki Łacińskiej. Paradoks? Być może. Ale kto wie, czy właśnie paradoks nie jest istotą naszej egzystencji, naszej wiary i nas samych? Ojciec Kasper doskonale go wyczuwa, ma otwarte oczy i serce, przedstawia nam nie tylko nieznany świat mieszkańców Boliwii, ale także swój świat wewnętrzny, w którym możemy się przejrzeć jak w lustrze. Razem z nim wypływamy na głębię, oswajając Boliwię, oswajamy siebie i poznajemy Boga. „To właśnie w zetknięciu z inną kulturą, w trudnościach związanych z brakiem możliwości swobodnego komunikowania się z innymi, w pewnym osamotnieniu, człowiek odkrywa prawdę o sobie" – pisze ojciec Kasper. I dalej: „...to droga, która prowadzi do odkrywania Boga: Tego, który jest ponad wszelkimi kulturowymi wyobrażeniami". Stąd w refleksjach ojca Kaspra nie znajdziemy pychy ewangelizatora, który pojechał z misją nawracania prostych, zacofanych Indian. Wręcz przeciwnie, na każdym kroku widać pokorę. Ojciec Kasper cytuje

zresztą jednego z misjonarzy, z którym się utożsamia: „Przyjechałem, aby dać ludziom Chrystusa, ale On już tutaj był przede mną i to właśnie tutaj Go spotkałem". I my dzięki ojcu Kasprowi Go spotykamy, z jednej strony w biedzie, cierpieniu, zacofaniu, z drugiej w radości, zabawie i tańcu, bo Boliwijczycy kochają świętowanie. Czy my, ludzie Zachodu, potrafimy się jeszcze dzisiaj tak szczerze radować? Czy dobrobyt dał nam szczęście? Czy koszty, jakie ponosi reszta świata, by nam żyło się wygodnie i dostatnio, nie są za wysokie? Kto wie, może niektórym z nas książka ojca Kaspra Kapronia pozwoli ujarzmić i oswoić także te części nas samych, nad którymi nie mamy kontroli – chciwość, pychę, wieczne niezadowolenie, którym ciągle mało, które krzyczą: daj mi więcej! Jeśli tego nie zrobimy, któregoś dnia może się okazać, że świat nic już dla nas nie ma. Życzę Państwu wielu wzruszeń i wielu olśnień w trakcie lektury.

Marcin Styczeń
Warszawa, 30 czerwca 2013 roku

Pierwsze kroki na boliwijskiej ziemi

Concepción, 22 lutego 2011 roku

W ubiegły piątek wieczorem, po ponad trzydziestu godzinach podróży, zmęczony, lecz cały i zdrowy, doleciałem do Santa Cruz de la Sierra. Z lotniska odebrał mnie ojciec Stanisław z Prowincji św. Jadwigi. Pierwszą noc na boliwijskiej ziemi spędziłem w klasztorze św. Franciszka, budynku w stylu kolonialnym, który jest domem formacyjnym tutejszej prowincji: mieszkają w nim studenci filozofii. Po przespanej z trudem nocy – efekty różnicy czasu – po Mszy Świętej i śniadaniu udaliśmy się na tereny wikariatu Ñuflo de Chávez. Jadąc do El Fortin, skąd miał mnie odebrać biskup Antoni, zatrzymywaliśmy się na terenie kolejnych misji, obsługiwanych przez naszych współbraci lub przez polskich kapłanów diecezjalnych. Teren wikariatu to około 90 000 kilometrów kwadratowych (ponad jedna czwarta terytorium Polski). Na tak rozległym terenie pracuje obecnie biskup Antoni, czterech księży miejscowych, pięciu księży diecezjalnych *fidei donum*, pięciu kapłanów zakonnych (OFM), czterech braci i około dziewięćdziesięciu sióstr zakonnych. Średnio kapłan obsługuje od dwudziestu do trzydziestu punktów duszpasterskich. Z tym związane jest pierwsze odczucie – każdy człowiek, który tutaj przybywa, to kropla w oceanie potrzeb. Nie można jednak narzekać na brak struktur duszpasterskich. Niemiecka Prowincja Franciszkańska z Bawarii, która dała podwaliny pod struktury wikariatu, zostawiła potężne i rozbudowane zaplecze duszpasterskie. Potrzeba więc tutaj

przede wszystkim ogromnej liczby ludzi, gdyż samo zaplecze materialne do funkcjonowania i pracy już jest gotowe. Oczywiście z brakami personalnymi wiąże się problem utrzymania miejsc i zabezpieczenia ich przed powolnym niszczeniem. W związku z reorganizacją prowincji franciszkańskich w Niemczech i odpływem środków materialnych biskup staje przed poważnymi trudnościami z utrzymaniem wikariatu.

Kraj biedny i nie można w najmniejszym stopniu porównywać go do krajów europejskich. Jedyna droga z asfaltową nawierzchnią na tym obszarze to odcinek z Santa Cruz do Concepción. Jest to droga międzynarodowa do Brazylii, która jednak od Concepción do granicy (jakieś 500 kilometrów) jest już tylko drogą ziemną. W porze deszczowej trasa ta zamienia się w drogę błotną. Odcinek asfaltowy przypominał mi polską trasę z Ustrzyk Górnych do Wołosatego: dziury, wyboje... i – aby doprecyzować – jest to droga płatna.

Ludność mieszka w chatach z gliny, pokrytych palmowymi liśćmi. Oczywiście można zobaczyć także domy murowane, jednakże na terenach, przez które przejeżdżaliśmy, stanowią one znikomą mniejszość. Mieszkańcy bardzo życzliwi i pełni serdeczności. Typowi Latynosi, pełni radosnego temperamentu. Wrażenie zrobił na mnie szpital w San Ramon. Jest to ośrodek kościelny, założony w latach sześćdziesiątych XX wieku przez Niemców. Dla Europejczyka stawiającego pierwsze kroki w nowej rzeczywistości, niezłym szokiem jest zobaczenie tego, co ambitnie nazwa się salą operacyjną, salami zabiegowymi, gabinetem stomatologicznym (ból odczuwa się na sam widok przyrządów dentystycznych). Przyszpitalna apteka wydaje lekarstwa na sztuki. Mimo bardzo trudnych warunków ośrodek spełnia jednak swoją funkcję, niosąc pomoc medyczną tutejszej ludności, przede wszystkim dzięki zabezpieczeniu płynącemu z Kościoła i zaangażowaniu miejscowych lekarzy oraz wolontariuszy.

W sobotę po południu przyjechałem do El Fortín. W niedzielę natomiast po raz pierwszy spotkałem się z biskupem Antonim.

W rozmowie pojawiły się kwestie związane z planami dotyczącymi mojej pracy. Później odbyła się wspólna kolacja i rekreacja w gronie współbraci: biskupa Antoniego, ojca Stanisława, braci Feliksa i Marka.

W poniedziałek rano po śniadaniu biskup udał się z całym swoim klerem na tygodniowe rekolekcje, natomiast ja z bratem Markiem (ekonomem diecezji) pojechałem do Concepción. Miejsce przepiękne: w środku dżungli osada ze wspaniałą katedrą pamiętającą czasy redukcji jezuickich. Perła baroku misyjnego opływająca złotem i ściągająca turystów z całego świata. To tutaj przyjdzie mi zamieszkać, lecz wcześniej czeka mnie kurs językowy w Cochabamba.

Pisane tego samego dnia wieczorem

Wtorek. Mój pierwszy dzień w Concepción i mój pierwszy samodzielny spacer. Przy wyjściu z katedry zostałem zaczepiony przez reporterów radia parafialnego. Poczułem się jak w mojej parafii na Modzelewskiego w Warszawie. Młodzi dziennikarze pytali o wrażenia z Concepción: moja blada twarz i aparat fotograficzny w dłoniach to oczywiste znaki tego, że jestem tutaj obcym, że jestem *gringo*.

Plac przed katedrą pełen dzieci i młodzieży. Kilka fotek dzieci, które kokietują: chcą, aby zrobić im zdjęcie, ale jednocześnie zawstydzone uciekają. Z katedralnego placu, który stanowi centrum miasteczka, przechodzę do centrum handlowego. Sklepy takie same jak w każdym miejscu na ziemi: kilka spożywczaków, papierniczy, zabawkowy, bary i restauracyjki. Niby wszystko takie samo jak w Warszawie, Krakowie czy w Rzymie, a jednak jakże inne i pełne egzotyki.

Krótki spacer po osiedlach mieszkaniowych, gdzie wszyscy mnie pozdrawiają i zaczepiają. Pytają, co u nich robię i jak się czuję. Wchodzę do spożywczaka. Na zapleczu właścicielka, a klientów obsługuje jej kilkuletnia córka, która musi pogodzić

pracę w sklepie ze szkolnymi obowiązkami. Zostałem zagadnięty przez jedyną klientkę sklepu: skąd jestem i co tu porabiam? Odpowiedziałem zgodnie z prawdą i od razu stałem się miejscową atrakcją. Z zaplecza wynurzyła się właścicielka i dwójka jej dorastających synów, którym pojawienie się *padresito* przerwało przedobiednią sjestę. Pytania, zdjęcia, uściski i na koniec jeszcze dorodna juka w prezencie od firmy. Z głodu na pewno nie pozwolą mi umrzeć.

Concepción, 8 marca 2011 roku

Dni mijają jeden po drugim. To już trzy tygodnie od mojego wyjazdu z Polski. W zeszłym tygodniu pojechałem do oddalonego o około 300 kilometrów Santa Cruz w celu uregulowania formalności wizowych. Bardzo często narzekamy na polską biurokrację, ale załatwianie spraw w tutejszych urzędach jest samo w sobie egzotyczną przygodą. Na szczęście bracia przekazali mnie w ręce miejscowej pośredniczki, która prowincji i wikariatowi załatwia kwestie imigracyjne; inaczej zginąłbym w morzu biurokracji. A więc najpierw urząd adwokacki, gdzie zostały przygotowane konieczne dokumenty. Tam też wykonano fotokopie dokumentów i zrobiono mi odpowiednią ilość zdjęć. Później w taksówkę i do siedziby Interpolu celem sprawdzenia, czy nie jestem poszukiwany międzynarodowymi listami gończymi. Potem do ośrodka zdrowia, by sprawdzić, czy nie jestem nosicielem wirusa HIV (biorąc pod uwagę tutejsze warunki sanitarne – można nim się zarazić w momencie oddawania krwi). Następnie znowu taksówka i w drogę do komendy policji, gdzie mnie zarejestrowano i kolejny raz w tym dniu pobrano odciski palców. Na koniec dnia jeszcze biuro notarialne. A to dopiero początek formalności.

Osobny rozdział to podróż autobusem z Santa Cruz do Concepción. Autobus jest środkiem, który w tutejszych realiach służy do przewozu ludzi i transportu towarów. Przewozi się nim skrzynki pełne pomidorów, kiście bananów, worki ryżu, cukru,

i tym podobne (brakowało mi tylko klatek z kurami i innego żywego inwentarza). Zastanawiałem się, dlaczego to produkty żywnościowe przewożone są z miasta na wieś, a nie w odwrotnym kierunku? Gospodarka latynoska najwidoczniej kieruje się jednak innymi kryteriami niż europejska i trzeba to uszanować. Na piętnaście minut przed planowanym odjazdem (o godzinie 13.30) zająłem miejsce w autobusie. Dwaj mężczyźni (jak się później okazało kierowca autobusu i pomocnik), z pełnym zaangażowaniem emocjonalnym wpatrywali się w ekran odbiornika telewizyjnego. Delektowali się filmem, który w realiach polskich mógłby liczyć na emisję jedynie w późnych godzinach nocnych. Nieprzebrana liczba krwawych scen, ukazanych z najdrobniejszymi szczegółami, oraz gwałtów wypełniała treść filmowego scenariusza. Kierowca, po zakończeniu emisji, naładowany odpowiednią ilością adrenaliny, zasiadł za kierownicą i ruszyliśmy w drogę. Autobus rozbrzmiewał dźwiękami latynoskiej muzyki, a klimatyzację zapewniały otwarte okna oraz powiewające zasłony.

W polskich pociągach można spotkać sprzedawców, którzy, przebiegając korytarzami, charakterystycznym i ochrypłym głosem krzyczą: „Piwo jasne, piwo, piweczko, piwo". Tutaj natomiast na każdym postoju do autobusu wkracza cały tłum sprzedających, którzy oferują pieczone kurczaki, owoce, słodycze, lody i wszelkiego rodzaju zimne i gorące napoje.

W czasie podróży poznałem także znaczenie często używanego słowa *bloqueo*. Droga została zablokowana przed wjazdem do miejscowości San Ramón, co spowodowało kilkugodzinne opóźnienie autobusu.

W sumie: około 300 kilometrów, nawierzchnia pełna dziur, czasami całkowity brak asfaltu, a sam autobus także nie należy do najnowszych osiągnięć techniki motoryzacyjnej. Pomimo to podróż nie przekroczyła sześciu godzin. Można to zestawić sobie teraz z podobną odległością i trasą między Krakowem a Warszawą.

W sobotę rano wyruszyłem wraz z biskupem Antonim w kierunku miejscowości Ascensión de Guarayos, gdzie zaplanowano

poświęcenie nowego ośrodka duszpasterskiego. Jednak już w czasie podróży nastąpiły pewne zmiany w programie. Po uroczystym imieninowym obiedzie u księdza Kazika w parafii Asunta, w czasie którego spotkali się wszyscy polscy księża i zakonnicy pracujący na terenie wikariatu, brat Feliks zabrał mnie do El Fortín, gdzie miałem zastąpić przebywającego obecnie na urlopie mojego imiennika z Prowincji św. Jadwigi. Przyszło mi więc zmierzyć się po raz pierwszy z konkretną pracą misyjną na tych terenach. Pierwsza niedzielna Msza w miejscowości Los Troncos na otwartej przestrzeni obok drewnianego baraku, który służy za punkt katechetyczny. Przed południem następna Msza Święta w głównym kościele parafii El Fortín, a w godzinach poobiednich Msza Święta i spotkanie z ludnością w miejscowości Villa Paraiso. Przeszedłem mój chrzest misyjny w Boliwii.

W tych dniach miałem okazję także zapoznać się z ogólną sytuacją panującą na terenach wikariatu. Podróżując z biskupem Antonim, poznawałem pracę na tym terenie. Zostały mi ukazane bolączki i problemy, z którymi codziennie lokalny Kościół musi się mierzyć. Na ogromnym obszarze najpoważniejszy problem stanowią – o czym już wspominałem – poważne braki personalne. Tutaj pełniej rozumie się znaczenie ewangelicznych słów: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo" (Mt 9, 37–38).

Stosunkowo niewielka liczba powołań kapłańskich wśród miejscowej ludności i liczne odejścia wiążą się głównie z brakami emocjonalnymi i problemami w środowisku rodzinnym. Rodzina, w naszym polskim rozumieniu tego słowa, praktycznie nie istnieje. Dzieci jest bardzo dużo, ale mieszkając razem w bardzo skromnych warunkach i śpiąc w tych samych łóżkach po kilkoro z rodzeństwa, odkrywają niestety swoją seksualność poprzez kontakt z najbliższymi w rodzinie. Nie jest też czymś nadzwyczajnym, że dziewczyna staje się matką w wieku trzynastu – czternastu lat. Dodać do tego należy jeszcze poważny problem alkoholowy, brak odpowiedniego szkolnictwa i edukacji. Często szuka

się rozwiązania istniejących problemów pozornie najłatwiejszymi metodami. Dzisiaj na przykład kończy się karnawał. Nie jest to oczywiście karnawał w brazylijskim Río, w skromniejszym stopniu jednak oddaje on rzeczywistość latynoskiej zabawy. Jest oczywiście normalna zabawa i taniec, ale wielkimi strumieniami płynie też alkohol i – co za tym idzie – obniżają się wszelkie bariery moralne. Dlatego też zapobiegliwi organizatorzy zabaw rozdają uczestnikom tanecznych pochodów prezerwatywy. To wszystko finansowane jest oczywiście ze środków międzynarodowych instytucji, które w ten sposób walczą z istniejącymi tutaj problemami.

W czwartek, po Środzie Popielcowej, wraz z biskupem Antonim jadę do Cochabamby. Tam zatrzymam się około dwóch miesięcy. Po dwóch miesiącach kursu językowego najprawdopodobniej wrócę tutaj do wspólnoty zakonnej i katedralnej w Concepción.

Pozdrawiam serdecznie i zapewniam o modlitwie. Niech czas Wielkiego Postu będzie dla nas wszystkich czasem autentycznej przemiany i odnowy, abyśmy wewnętrznie przemienieni z odwagą pierwszych apostołów potrafili głosić prawdę o Zmartwychwstaniu Chrystusa.

Pozdrawiam serdecznie i proszę o modlitwę

Kasper Kaproń OFM

Spis treści

Wstęp 7
Przedmowa – Oswjanie Boliwii 13

Listy do przyjaciół luty 2011 – luty 2012 17

Felietony Boliwią pisane 187

Mój Wielki Post... 189

Cisza Nazaretu czy gwałtowny wiatr Pięćdziesiątnicy? 191

I z czego tu się spowiadać? 195

O radościach boliwijskiej świnki... 198

Jeśli Pisma Świętego i nauczania Kościoła nie słuchają... 202

Nie dla chrześcijan święty spokój... czyli o mężczyznach w Biblii 204

Chrystus niedokończony 206

Promować Ewangelię! Ale jak? 209

Aniele Boży, Stróżu mój... 211

Politycznie niepoprawne kazanie 214

Własnego kapłaństwa się boję 216

Testament 219

Teologia Bożego Miłosierdzia 223

Sprawiedliwy handel 225

Moje Betlejem 228

Negro i biskupia piuska 229

Drzewo życia 232

Lud Twój, Panie, lud pielgrzymi 237

Duch, który daje życie 242

Refleksje nad starą koszulą 246

Oda do mojej młodości 251

W nim bowiem raduje się serce nasze 256

„Jeśli nie staniecie się jak dzieci..."
ale czy w myśleniu? 259

Historia magistra vitae est 263

Boliwijska szkoła patriotyzmu 269

Tupas chapiye 274

Na obraz Boży go stworzył 279

Dzieci w szkole współczesnego świata 282

Coś się kończy, coś się zaczyna... 288